

Tak... teraz Stefan miał już czas. Właśnie pod koniec ubiegłego roku zwolnili go z pracy. Dostał nielichą odprawę, nawet tę „Oktawię” za to kupił, ale pracy nie mógł znaleźć tak samo jak i ja. Tylko tłumaczenia mu zostały, bo miał uprawnienia biegłego tłumacza. W tym nie sprawdzali metryki. Ja miałem gorzej, bo takich papierów nie miałem. Niby zdrowie jakoś mi się ustabilizowało, a może nawet poprawiło, bo Dorota zaszczerpiła we mnie większą dbałość o siebie, biegałem trochę i ćwiczyłem, chociaż niezbyt systematycznie. Jednak od dawna żyłem właściwie tylko z tych moich programów, a to były niemal chałtury. Nie mogłem sobie pozwalać na szaleństwa.

- Stefan, zjedź gdzieś do baru na kawę. Oczy mi się kleją.
- Zaraz będzie jakaś stacja, to się zatrzymamy. Która jest godzina?
- Po dwunastej. Trzeba będzie zadzwonić do tej twojej Anny.
- Nie mojej, tylko do Anny Jakiejśtam. Ten gość wprawdzie wymówił jej nazwisko, ale wyleciało mi z głowy.

Zbliżaliśmy się do zjazdu na stację. Zamilkłem, nie chcąc Stefanowi przeszkadzać. Kiedy zatrzymał się do tankowania, wyszliśmy obodwaj z samochodu, aby rozciągnąć trochę mięśnie. Ciepło owładnęło mną niemal całkowicie. Czułem jak ogarnia mnie rozleniwienie i senność. Klimatyzacja to jednak dobry wynalazek, w samochodzie czułem się lepiej...

Kiedy po zjedzeniu pączka i wypiciu kawy wyszliśmy na zewnątrz, było wpół do pierwszej. Stefan oceniał, że do celu mamy niewiele ponad trzydzieści kilometrów, więc spokojnie zdążymy na czas. Zadzwonił pod podany numer. Szybko nawiązał połączenie. Rozmowę rozpoczął od tego, że ten numer został mu podany jako kontakt w sprawie dzierżawy. Potem powiedział „Stefan Jowiński” i kilka razy powtórzył „dobrze”, po czym się pożegnał.

- Ma dość miły, młody głos – zaczął po schowaniu telefonu. – Powiedziała, że bardzo się cieszy z tego, że dojeżdżamy. Cholera! Ach jak się cieszy! – wydziwiał teatralnie, z ironią cytując rozmówczynię. Oznaczało to, że panienska posługiwała się standardową nowomową, która atakowała nas również podobnymi reklamami ze wszystkich stron i miejsc. Nic konkretnego nie można było z tego odczytać.
- I zaraz powiadomi o tym pana prezesa i że czekają na nas. Aha, no i obiad na nas czeka, żebyśmy się już nigdzie nie zatrzymywali.
- A jak się nazywa? Ty się przecież przedstawiałeś.
- Anna Kordonek, tak jak takie nici. Dokładnie tak mi powiedziała.
- No to dziwię się, że przedtem nie zapamiętałeś – roześmiałem się. – Jedźmy już! Tu jest zdecydowanie za gorąco!

Po kilkunastu minutach mijaliśmy pierwsze domy Pokrzywna.

- Stefan, nie skręcaj z drogi – zawołałem wtedy, podniecony dawnymi widokami. – Podjedź najpierw pod sklep – zaproponowałem.
- Po co? Co chcesz kupować?
- Nic. Mamy jeszcze trochę czasu, więc chcę się zorientować w układach. Może dowiemy się czegoś?
- Dobry pomysł – ocenił i bez pudła zatrzymał się przed sklepem. Nie było wątpliwości, że ten teren zna nie gorzej niż ja.

Wszedłem do środka z mocno bijącym sercem, w nadziei, że spotkam tu Barbarę. Jak też mnie przywita po latach? Czy mnie pozna? Czy nie ma do mnie żalu?

Jednak zaraz po zamknięciu drzwi, poczułem niesmak w ustach. Za ladą królowała obca, nieznana mi kobieta. Pani Basi nie było. Zapytałem o nią.

- O, proszę pana, to już kilka lat minęło, gdy sprzedali nam sklep – padła szybka odpowiedź. Nie kryłem rozczarowania. Kobieta to zauważyła.

- A Basia kim jest dla pana? – zapytała ciekawie. W sklepie oprócz mnie akuratnie nie było nikogo, dlatego zacząłem z nią rozmawiać.

- Wie pani... Ja tutaj kiedyś, jeszcze w ubiegłym wieku, spędzałem wakacje. I prawie codziennie chodziłem do tego sklepu na zakupy. To stąd znam panią Basię i nic więcej nas nie łączy. Przyjechałem teraz, po latach i chciałem jej tylko powiedzieć, że zawsze mile ją wspominałem. To wszystko!

- To bardzo miło z pana strony – zauważyła przytomnie i dość zalotnie. A jednak po chwili pomyślałem, że to jest raczej tylko taki współczesny, handlowy standard.

Niby była zwyczajną kobietą, wcale niebrzydką, ale zupełnie mi się nie podobała. Pewnie dlatego, że w tej okolicy żadna nie miała szansy, aby mi się spodobać. Zresztą... przecież nie tylko w tej okolicy. Mnie już żadna się nie spodoba – pomyślałem sfrustrowany. – Tylko jedna mogłaby wlać w moje żyły adrenalinę, ale wiatr już dawno rozwiął jej ostatnie ślady. I nawet ten zapach już nigdy tutaj się nie przyplące...

Zacząłem odczuwać dyskomfort sytuacji. Dotychczas zbliżyłem się już do tamtych miejsc na wyciągnięcie ręki, ale to jeszcze nie było to. Wiedziałem, że to dopadnie mnie dopiero tam. Że teraz jeszcze mogę obejść, objechać, ominąć tamto miejsce. Podwórko, dom i jezioro. Jednak ta chwila się przybliżała. I czułem, jak przez wszystkie moje mięśnie przebiega jakieś mrowienie, jak drgają... Bałem się, tak zwyczajnie. Bałem się wszystkiego.

Sklep był próbą odsunięcia od siebie konieczności zetknięcia się z tamtym. I ta chwila mojej tutaj obecności się kończyła. Mogłem już tylko wyjść. Ale подарowano mi jeszcze kilka minut.

Kobieta zupełnie nie czuła mojego nastroju, bo niby dlaczego miała go czuć? Śpiewała teraz swoją wyuczoną kombinację.

- Jeśli pan zechciałby tu pozostać gdzieś w okolicy, to zapraszam! Mamy w sklepie niezły asortyment, lepszy chyba nawet niż przed laty.

- Ja nie wiem czy dotrwamy tu do jutra – skrzywiłem się kwaśno. – Nie mam teraz ani urlopu, ani wakacji. Właściwie to jestem tylko przejazdem.

- Szkoda! – rozłożyła ręce w bezradnym geście. – Coraz mniej prawdziwych turystów zachodzi tutaj. Teraz wszystko zorganizowane i nie potrzebuje nawet sklepu.

- Aż tak źle? – zapytałem z rozpędu i naiwnie. – Co pani chce przez to powiedzieć?

- Ależ nie! – roześmiała się. – Tylko wkoło wyrastają hotele i ośrodki, a tam już mają swoje zaopatrzenie, swoją kuchnię. Nas nie potrzebują! – wyjaśniła.

- Ja już się do tego przyzwyczailem – teraz ja zaśmiałem się autentycznie, chociaż gorzko. – Mnie już od dawna nikt nie potrzebuje. Ale zapewniam panią, że mimo wszystko, nie warto się wieszać. Przećwiczyłem to. Proszę mi wierzyć!

- Mówi pan? Może i prawda... – skomentowała moje słowa. Ale nie dałem jej dokończyć myśli. I zmieniłem temat.

- Czyli Basia wyprowadziła się stąd?

- Nie, chyba nie, ale ja ją rzadko widuję. Nie przychodzi tutaj. Nawet po pieczywo. Nie pamiętam nawet kiedy ostatnio ją widziałam.

- A mieszka tam gdzie mieszkała?

- Nie słyszałam nic o tym, żeby gdzieś się wyprowadziła albo też wyjechała. Może więc i mieszka! Ja naprawdę nie wiem!

- No cóż, dziękuję pani – szybko ją pożegnałem i wyszedłem ze sklepu.

Miałem jej dość.

- I jak? – powitał mnie Stefan, kiedy wsiałem do samochodu.
- Dupa bła. Pani Basia sprzedała sklep, a tej sklepowej nie znam.
- Jaka pani Basia?

Usiałem w fotelu i tylko kręciłem głową. Jeszcze nie całkiem doszedłem do siebie po wizycie w sklepie, a już świadomość tego, że zaraz zetknę się z tamtymi wspomnieniami... Byłem gorzej niż pijany, a przynajmniej tak się czułem.

- Twoja sąsiadka, która kiedyś prowadziła ten sklep.

Stefan zastanawiał się przez chwilę.

- A, faktycznie! Wiem o kogo chodzi. Pamiętam ją. To ta, co mieszka na rogu, przy zjeździe z drogi. Tylko nie wiedziałem, że to Basia. Nie przedstawiała mi się, chociaż do sklepu to i ja często chodziłem.

- Ta sama.

- I co, mówisz, że sklep sprzedała? A gdzie teraz jest i co robi?

- Kurwa, a skąd mam to wiedzieć? – wybuchnąłem.

- No tak... – spojrzał na mnie flegmatycznie. – Chyba pojedziemy, co? – powiedział łaskawie.

- Jedź! – odparłem, zrezygnowany.

Było mi już wszystko jedno. Tak mi się wydawało. W mojej świadomości tkwiła informacja, że niczego już nie uniknę. Muszę się spotkać z moją przeszłością i niekoniecznie na takich warunkach, które bym sobie wymarzył. Jezioro... klon... lipa... sauna... to wszystko na mnie czekało.

Moje dłonie drżały już cały czas...

Wcześniej przyszła pierwsza porażka. Stefan, kiedy ruszył bez pośpiechu spod sklepu, nie darował mi sytuacji.

- To mówisz, że wtedy poderwałeś sobie panią Basię... – stwierdził raczej niż zapytał.

Spojrzałem na niego z politowaniem. Ale nie patrzył na mnie i kontynuował. – Pytała mnie kiedyś w sklepie dlaczego nie przyjeżdżasz, ale wtedy nie skumałem, bo śmiała się, że co rano biegałeś po drodze. I mówiła, że oglądała ciebie z podwórka. Dopiero teraz mi się to przypomniało i stąd ją skojarzyłem.

Zdrętwiałem. Ale po chwili zorientowałem się, że nie mówi o „nas” tylko o „mnie”.

- Nie gorączkuj się, wcale jej nie poderwałem. Tylko jak przez całe lato robi się zakupy w jednym sklepie, to trudno nie rozmawiać. A że wpadła parę razy na kawę, to cóż w tym dziwnego?

- O, to i kawa była? Z wpadaniem nawet... Popatrz, popatrz! Do tego się nie przyznała! A tak mi się coś wydawało, że zbyt ładnie ten dom po tobie był wysprzątnany...

Nie skomentowałem jego słów, chociaż szlag mnie brał.

Najzwyczajniej brakło czasu.

Dom Barbary stał na swoim miejscu, ale podwórko było puste. Samochód powolutku skręcał z asfaltu na znaną mi drózkę. Kierunkiem przypominała tę poprzednią, polną, ale to nie była ta dróżka! Teraz wyasfaltowana, równiutka... Popatrzyłem przed siebie, a Stefan nagle wcisnął hamulec. Samochód zatrzymał się.

Przy krawędzi byłej dróżki stał sobie najzwyczajniejszy znak zakazu ruchu. A pod nim zamocowano dwie tabliczki. Jedna o treści „Droga wewnętrzna, teren prywatny!” i druga „Wjazd wyłącznie na podstawie zezwolenia LIMAN SA.”

- O ja pierdołę! – wyrwało mi się, kiedy tylko zrozumiałem, że wzrok mnie nie myli.

- Jasny szlag! – zawtórował mi Stefan i opadł w fotelu, jakby powietrze z niego wyszło.

- Podprowadzili ci drogę! – złapałem się za głowę, śmiejąc się histerycznie. – Stefan, będziesz musiał kupić sobie helikopter!

- Już ja im, kurwa, kupię! Szlag by to nie wziął! Teraz mnie wkurwili! I oni chcą ze mną rozmawiać? A poza tym co mnie obchodzi jakiś LIMAN? Mam go... wiesz gdzie.

- Masz pierwszy sygnał, że warto było przyjeżdżać i sprawdzać, co się dzieje.
 - Mam, sam to wiem – odwarknął. – Nie musisz mnie teraz pouczać.
- Nagle przyjął energiczną pozycję w fotelu. Zorientowałem się, że ma zamiar ruszyć i jechać pod dom.
- Poczekaj! – zablokowałem mu rękę, sięgającą do kluczyków. – Spokojnie, pomyślmy przez chwilę.
 - A o czym tu myśleć, nie mam zamiaru przejmować się ich bzdurnymi zakazami – rzucił nerwowo, ale usiadł wygodnie.
 - Ty, a wiesz co znaczy słowo „liman”?
 - Nie wiem. Wiem, co to „limon” albo „limonka”. A „liman” to pewnie jakiś zbitek.
 - To też możliwe, ale mnie się wydaje, że ktoś celowo chwali się znajomością okolic Morza Czarnego, zaznaczając, że to teren nie dla obcych.
 - Co mnie to obchodzi! Jadę, bo stąd nie widzę, czy moja chałupa jeszcze stoi.
- Uruchomił silnik i powoli przejechaliśmy dróżką kilkadziesiąt metrów.
- Zatrzymaj się! – zawołałem. Stefan przystanął i zgasił silnik.

Nie tylko dróżka, ale cały krajobraz wokół niej, zmieniły się diametralnie. Tu było zupełnie nie tak jak kiedyś! Z lewej strony już nie dojechałbym rowerem do kępy brzoź, żeby naciąć gałązek na miotełki do sauny. Cały teren był oczyszczony z zeschłej trawy ugoru i drzewek – samosiejek, ale to mało.

Zaraz za skrzyżowaniem pysznił się elegancki, wysoki płot, obejmujący znaczną część dawnego ugoru. Teren wewnątrz był częściowo zagospodarowany, ale jego przeznaczenia nie umiałem określić, bo kręciło się tam kilka osób w roboczych kombinezonach. Pewnie prowadzono jakieś roboty. Pozostała tu większość dawnych drzew, kępy krzewów, jednak nie było chwastów, teren był w zasadzie oczyszczony. Mój wzrok powędrował dalej, a tam już płotu nie było. Dostęp od drogi nie był przegrodzony.

- Podjedź trochę – zawołałem. Stefan ujechał kilkaset metrów, tam gdzie płot się kończył i znowu się zatrzymał.

Staliśmy naprzeciwko kompleksu boisk sportowych, ale nie było tu nikogo. W kępy drzew wkomponowano boisko do koszykówki, korty tenisowe i jakieś inne obiekty. Może sportowe, ale chyba nie tylko. Pomyślałem, że w zasadzie, można by tu urządzać niezłe pikniki na kilkanaście albo najwyżej kilkadziesiąt osób. Bo dla większej ilości kibiców nie było tu miejsca.

Ale najważniejsze było jeszcze dalej. Tam pysznił się spory, dwupiętrowy budynek, a właściwie to gmach, o dość skomplikowanej bryle. Zewnętrzna fasada prezentowała się tak, jak wiele obiektów na tym terenie i budynek wyglądał na pozór jak zabytek z dawnych lat. Niczym stary zamek. Wkomponowany niemal w ścianę lasu, częściowo zasłonięty drzewami, był odsunięty kilkadziesiąt metrów od naszej drogi, a od kompleksu sportowego też oddzielała go ściana zieleni.

- Jedź dalej! – rzuciłem niecierpliwie. Stefan ruszył powolutku, zatrzymując się naprzeciwko obiektu, którego fasady chyba nie zdobił żaden napis reklamowy.

Prowadziła do niego, wyłożona granitową kostką, odnoga naszej dawnej dróżki, a na parkingu przed nim stało kilkanaście samochodów. Czyli jednak można tu jeździć! – pomyślałem. Stefan też zwrócił uwagę na samochody.

- Jakies ciotki to jednak tutaj jeżdżą – wysyczał. – A mnie próbują wydymać? A gównie! – wykrzyknął z naciskiem. – Zaraz z wami pogadamy!

- Widzę, że gdyby nie ten obiecany obiad, to już dawno zawróciłbyś auto – roześmiałem się na cały głos. Wtedy, jakby dźgnięty sprężyną, odwrócił się do mnie.

- Ty mnie nie wkurwiasz, bo i tak mam już dość!

Śmiech zamarł mi na twarzy.

- To ty przestań! Nie z ciebie się śmieję. I nie masz powodu do irytacji, ani wariactwa. Ten durny znak to małe pikuś. Zawsze można go wyjąć, albo wyciąć. Popatrz lepiej z kim masz tutaj do czynienia. To jest kasa! Stefan, sam wiesz, że tego wszystkiego tutaj nie było! A teraz albo to stoi, albo obydwa

ulegliśmy omamom wzrokowym. Uspokój się! Jeśli chcą z tobą rozmawiać, to porozmawiajmy! Ale bez nerwów, spokojnie! Zapomniałeś już, że jesteś handlowcem? Kto w takim stanie siada do stołu?

Stefan opanował się niemal natychmiast.

- Sorry, zapomniałem się – znowu opadł na fotel.

- Pooglądajmy to wszystko, mamy jeszcze czas, a potem dopiero zobaczymy kto za tym stoi.

- Widzisz – odparł spokojnym głosem – a pytałeś po co ciebie biorę. Właśnie po to. To nie jest twoje, więc podchodzisz do tego racjonalnie, a nie emocjonalnie. Ja sprzedając cudzy towar też się nie wnerwiam. Ale teraz mnie ruszyło.

- Patrz na drugą stronę – powiedziałem, zmieniając temat.

Po prawej stronie drogi teren był również uporządkowany, ale tu nie było budowli. Zieleniła się jedynie trawa z rzadkimi kępami drzew.

- Ale numer! Ciekawe kto to kupił? Przecież to był ugór, a teraz wygląda jak pole golfowe! – zauważył.

- Aha, patrz! Twój płot też zmieniony! Stefan... – teraz to ja rozpląszczyłem się niemal w fotelu. Cała odwaga gdzieś mi uleciała.

- Co znowu?

- Ty, po co my tu przyjechaliśmy? Kim my jesteśmy? Mamy w kieszeniach forsy tyle, co na żurek w przydrożnym barze. I my się mamy mierzyć z firmą LIMAN? Nie mam pojęcia, co i kto to jest, ale daliśmy dupy, że nie przyjechaliśmy tu anonimowo i nie sprawdzili wcześniej kto stoi za kancelarią. Mam złe przeczucia.

- Teraz ty się uspokój. Skoro masz jeszcze na żurek, to nie jest tak źle. Będzie na postój w powrotnej drodze. A teraz jedziemy na proszony obiad, bo jestem głodny.

Zbliżyliśmy się do bramy. Była w tym samym miejscu co dawniej, ale to była nowa brama i nowy płot. Był tak samo drewniany, ale o wiele bardziej elegancki i znacznie wyższy, z murowanymi słupami, a brama z kutej stali. Jedno skrzydło było otwarte, ale zauważyłem zamontowane do niego siłowniki. Czyli wszystko było sterowane i pod kontrolą.

Za tym otwartym skrzydłem stał sobie sprężysty gość w eleganckim sportowym uniformie. Na wygląd miał trzydzieści parę lat. Stefan opuścił szybę i zatrzymał się tuż przy nim.

- Dzień dobry! – mężczyzna grzecznie nas przywitał. – Czy panowie są umówieni?

- Tak – szybko powiedział Stefan. – Czeka na nas pani Anna Kordonek.

- Proszę więc podjechać przed wejście do budynku. Pani Anna oczekuje tam panów.

Stefan ruszył powoli z miejsca.

- Ale ci działkę upiększyli, ja nie mogę! Stefan, ty tu masz teraz elegancję-Francję! – patrzyłem przez otwarte okno samochodu.

- Tak, ciekawe czy zrobili to charytatywnie – Stefan nie krył swojego sceptycyzmu.

Do domu prowadził podjazd wykładany granitową kostką, zakończony małym parkingiem, na którym stało kilka samochodów. Ale jakie to były wozy! Najgorszym chyba był mercedes. Moja stara astra przy nich byłaby złomem. Zresztą faktycznie nim była. Nawet skoda Stefana mogła tu być tylko ich ubogą krewną.

Dwa miejsca były puste. Zdążyłem jeszcze tylko zauważyć, że całe podwórko zamienione jest w jakiś parkowy ogród, gdzie rosną najróżniejsze drzewa, drzewka, krzewy, kwiaty i inna roślinność, a pomiędzy nimi gdzieniegdzie wiją się granitowe alejki. Kawalek budynku gospodarczego, który widziałem zza posadzonych drzew, wyglądał na odnowiony, ale na stodołę nie zwróciłem uwagi. Zaslaniały ją młode drzewa. Kiedy zdążyły się tak rozrosnąć? Pewnie posadzono już takie większe. Jednak stara lipa wyraźnie górowała nad otoczeniem. Została oszczędzona.

Podjechaliśmy przed ganek. Ale jak zmieniony? Dawnego ganku nie było. Na jego miejscu był nowy, dopasowany architektonicznie do bryły budynku i o wiele większy. Z dużą połącją daszku wspartą na wysuniętych kolumnach. A na stopniach wejściowych stała młodziutka, zgrabna osóbką, o całkiem niebanalnej urodzie, ubrana w prostą, letnią sukienkę. Stefan zatrzymał samochód i wysiedliśmy, grzecznie się kłaniając. Podeszła do nas i przywitała się, podając rękę.

- Jestem Tomasz Barycki – przedstawiłem się i ująłem jej dłoń. Uścisk miała mocny i energiczny.

- Anna Kordonek. Witam pana serdecznie.

Po chwili powtórzyła uścisk dłoni ze Stefanem, a przedstawiając się, dodała – Jestem asystentką pana prezesa Johna Warwicka i w jego imieniu serdecznie panów witam!

- Kogo? – wyrwało mi się niezbyt grzecznie. Spojrzała na mnie i powtórzyła:

- Pana prezesa Johna Warwicka.

- A pan prezes jest tu z czymś związany? – dalej beczelnie brnąłem w temat, zaskoczony brzmieniem jej słów.

- Przepraszam pana bardzo, ale zanim panu odpowiem muszę wiedzieć w jakim charakterze pan tutaj występuje – nie dała sobie w kaszę dmuchać. – Bo rozumiem, że pan – tu zwróciła się do Stefana – jest notarialnym właścicielem tej nieruchomości, prawda?

- Tak! – potwierdził Stefan. – A ten pan – skinął w moją stronę – jest moim doradcą.

- Rozumiem i bardzo panów przepraszam. Wszystko jest w porządku. Po prostu takie mamy procedury, że przed udzielaniem informacji muszę się upewnić – wyjaśniała rozbijającym tonem. – Otóż pan John Warwick jest prezesem zarządu banku Solution Poland S.A. w Warszawie, który to bank de facto użytkuje tę nieruchomość. Jak pewnie panowie wiecie, bank warszawski należy do amerykańskiej grupy Solution, której główna siedziba mieści się w Nowym Jorku.

Wiedziałem. Bez szczegółów, ale wiedziałem. Z gazet i telewizji. To potężna grupa finansowa, działająca na całym świecie. W Polsce pośredniczyła w uruchamianiu wielu amerykańskich projektów i inwestycji, szczególnie związanych z przemysłem obronnym, lotniczym i technologiami innowacyjnymi. Dlatego odruchowo kiwałem głową, sygnalizując zrozumienie. Stefan stał nieruchomo.

- Ale zostawmy te sprawy na później, na pewno wszystkiego panowie się dowiecie. Do czternastej mamy jeszcze trochę czasu, pan prezes jeszcze jest w drodze, więc na razie miałabym dla panów taką propozycję. Proszę podjechać do hotelu, tam są dla panów przygotowane pokoje, proszę się odświeżyć po podróży. Wszystko w pokojach jest do panów dyspozycji. A potem zapraszam na coś zimnego tutaj, do salonu. Proszę podjechać tą alejką – pokazała kierunek – do głównego wejścia, tam już recepcjonistka zajmie się wszystkim. I proponuję za – popatrzyła na zegarek – za jakiś kwadrans, no powiedzmy za dwadzieścia minut, spotkanie tutaj, w tym miejscu. Będę panów oczekiwać.

- A samochodu nikt mi nie zaaresztuje? – zapytał Stefan. – Bo ja nie mam zgody firmy LIMAN na wjechanie tutaj.

- Pan raczy żartować – uśmiechnęła się. – Jesteście panowie tutaj naszymi gośćmi, a po drugie, takie sprawy to już nie ze mną. Ale jestem przekonana, że dzisiaj, na wszystkie pytania uzyskacie panowie satysfakcjonujące odpowiedzi.

Stefan wzruszył ramionami.

- Wydawało mi się, że tutaj, to ja jestem gospodarzem! – mruknął.

- Proszę mi uwierzyć, że ja nie mam nic przeciwko temu! – odpowiedziała niezmieszana. – Dlatego proponuję panom chwilę relaksu, a potem zapraszam ponownie.

- Ok. – zgodziliśmy się obaj. Zresztą, czy mieliśmy jakiś wybór?

Podziękowaliśmy i podjechaliśmy tak, jak nam polecono.

- Za dużo czasu, to nam nie dała – mruknąłem, kiedy Stefan parkował niedaleko wejścia.

- Jasne, żebyśmy nie mieli czasu do namysłu i zbyt długo nie rozmyślali – Stefan też okazywał niezadowolenie.

Budynek z większej odległości nie wyglądał zbyt okazale, drewno i cegły wyglądały dość staroświecko, jednak z bliska było widać, że to złudzenie. Był zupełnie nowy. Tak samo, dopiero z bliska ujawniał się wkomponowany w elewację napis: Hotel LIMAN. Natomiast wewnątrz... szok! W środku był to normalny, super nowoczesny obiekt hotelowy, chociaż stylizowany na stary, krzyżacki zamek. I to czuło się już od przekroczenia drzwi wejściowych.

Jego wykończenie w niczym nie przypominało pretensjonalnych, przydrożnych obiektów dla przypadkowych gości. Tutaj królował nastrój, smak i elegancja. Niemal fizycznie poczułem obecność Jaćwingów, Krzyżaków i wojów Jagiełły. Znać było rękę fachowca od wystroju wnętrza. To co zobaczyłem było gustowne i dobrane ze smakiem. Pobyt tutaj musiał niemało kosztować.

W hallu wejściowym było pusto, zaś w recepcji dyżurowała młoda kobieta w eleganckim, służbowym kostiumie. Powitała nas bardzo uprzejmie.

- Panowie jesteście gośćmi pana prezesa Warwicka? – zapytała. Potwierdziliśmy. – W takim razie bardzo panów proszę udać się ze mną.

Wyszła z recepcji, kierując się ku pobliskim schodom na piętro.

- Nie ma tu windy? – zapytał Stefan ironicznie.

- Ależ jest! – odwróciła się ku niemu z uśmiechem. – Ale do panów pokoi bliżej jest po schodach.

- A czyj to hotel? – nie ustępował.

- Właścicielem hotelu jest spółka LIMAN – odpowiedziała bez wahania. – I taką też hotel nosi nazwę.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

wykrot, dodano 19.06.2012 09:34

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.